

ANNA
ONICHIMOWSKA

Z PUNKTU
WIDZENA KOTA

Anna Onichimowska
Z punktu widzenia kota

© by Anna Onichimowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Korekta i skład: Lidia Kowalczyk,
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-627-4

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

Gdyby państwo N. nie przygarnęli kota Alberta, nie byłoby tej historii. Nie byłoby jej również, gdyby pan N. nie dostał propozycji miesięcznego wyjazdu w Alpy, gdzie na zboczu jednej z gór miał obserwować zwyczaję pewnego chrząszcza. Pani N. chrząszcze nie obchodziły w najmniejszym stopniu. Prawdę powiedziawszy, reagowała na nie alergicznie. Należy jednak uczciwie przyznać, że potrafiła powstrzymać się od narzekania, z dużą wprawą przeliczając je na buty, wywołujące z kolei uczulenie u jej męża. Biorąc pod uwagę dwadzieścia lat wspólnego życia, bilans wzajemnych uczuleń nieźle się równoważył.

Zgodnie z logiką pani N. powinna zostać z kotem, a nie upierać się na wyjazd w warunki dalekie od luksusowych, czyli do schroniska z monotonnym jadłospisem i przerwami w dostawie prądu, o czym lojalnie potencjalnych gości uprzedzono. Było to ubrane co prawda w eufemizmy typu „prosta zdrowa kuchnia” i „możliwość porywistych wiatrów i okresowych burz”, jednak kto jak kto, ale ona umiała czytać między wierszami. Wybór pani N. był wyborem negatywnym. Wolała jeść codziennie *Wiener Schnitzel* i *Apfelstrudel* niż zostać sam na sam z Albertem. Imię zawdzięczał kot panu N., który już pierwszego dnia zauważył, że kot umie liczyć. Pani N. nazywała go częściej Zlewosraką, ponieważ kot załatwiał swoje poważniejsze potrzeby wyłącznie w zlewie.

Wzajemne stosunki pani N. i Alberta układały się na szczelnie ambasad – Albert traktował ją jak powietrze, podczas kiedy ona udawała, że tego nie dostrzega.

Historii tej nie byłoby również, gdyby państwo N. zamieszkiwali w dwupokojowym mieszkaniu z oknem na śmietnik. Traf chciał jednak, że po kilkuletnim gnieźdzeniu się w czymś, co trudno było polubić, odziedziczyli Perelkę – bardzo przestronny dom z ogrodem i rozległym widokiem na tokańskie wzgórza. Od tej chwili nie mogli się opędzić od licznych krewnych i znajomych, których tęsknota za państwem N. była wprost proporcjonalna do temperatury powietrza i wody w basenie, jako że basen też naturalnie znajdował się na terenie posiadłości. W miesiącach zimowych państwo N. zadowalali się własnym towarzystwem, co przychodziło im bez trudu. Pan N. dwa razy w tygodniu jeździł do pracy we Florencji, pozostałe dni był online do dyspozycji pracowników instytutu i studentów. Pani N. – z pochodzenia Polka – współpracowała z kilkoma portalami specjalizującymi się w poradach na temat zwierząt domowych. Została uznana za ekspertkę od kotów, nawet prowadziła w radio stosowny program, mimo że jej wiedza na ich temat – jak się ostatnio przekonała na własnej skórze – była czysto teoretyczna.

Historia ta rozwinęłaby się prawdopodobnie mniej spektakularnie, a raczej nie rozwinęłaby się w ogóle, gdyby nie Sylwia, młoda przyjaciółka pani N. Nieodpowiedzialna, chociaż diabelnie atrakcyjna, jak twierdzili niektórzy. Gość w Toskanii rzadki, ponieważ zdaniem pani N. obecność Sylwii przeszkadzała jej mężowi w pracy. Pan N. był innego zdania, ale gwałtowność jego zapewnień, że po pierwsze – nie znosi dużych

biustów, a po drugie – nie zauważył, jakoby Sylwia takowy posiadała, utwierdziły jedynie panią N. w przekonaniu, że nie należy prowokować losu. Trzeba dodać, że pomimo owych zalet ciała i prostolinijności charakteru, najdłuższy związek Sylwii trwał osiem miesięcy. W każdy kolejny wchodziła z euforią i nadzieją, których nie zdołały nadwyrężyć poprzednie przykre doświadczenia. Prosząc o opiekę nad Zlewosraką, pani N. chciała upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ugościć przyjaciółkę pod własną nieobecność i pozbyć się kota, ponieważ była bardziej niż pewna, że kto jak kto, ale Sylwia nie będzie w stanie go upilnować.

Podczas gdy pani N. powierzyła dom i Alberta Sylwii, pan N. dał klucze od posiadłości koledze z uniwersytetu w Mediolanie, aby ten mógł w ciszy i spokoju pracować, opróżniając od czasu do czasu kuwety i dosypując karmę. Nie tyle panu N. zależało na pracy kolegi, prawdę powiedziawszy, miał to głęboko gdzieś, jednak Marco wydawał mu się wystarczająco solidny i odpowiedzialny, spokojny, zrównoważony, schludny, a nawet pedantyczny by opiekować się domem, ogrodem, a przede wszystkim Albertem. Kiedy państwo N. zorientowali się, że nie słuchali się wzajemnie w chwili, kiedy uwaga była konieczna, było już za późno. Pocieszyli się, że dom jest wystarczająco duży dla dwojga nawet obcych sobie ludzi, zapakowali samochód i ruszyli w drogę. Ich nieobecność miała trwać dwadzieścia pięć dni.

O TYM, ŻE ALBERT NIE PASUJE DO SOFY, O KOCHANKACH RZEŹNIKA I UTOPIENIU IPHONE'A

Pan N. mylił się, sądząc, że Albert umie liczyć. Albert posiadał inne niezliczone umiejętności, o matematyce nie miał jednak błędnego pojęcia. Podobnie jak o czasie. Na imię Zlewosraka zasłużył sobie bardziej, choć nań nie reagował. Niechęć Alberta do pani N. nie była niechęcią personalną. Po prostu nie lubił kobiet, niezależnie od ich wieku, urody, stopnia zamożności czy też okazywanych mu względów. Panią N. tolerował, po pierwsze – ze względu na jej powiązania z panem N., którego cenił i szanował, po drugie – satysfakcjonował go sposób, w jaki okazywała mu niechęć. Albert miał wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby zdawać sobie sprawę, że swoją pozycję w domu zawdzięcza tylko i wyłącznie panu, ponieważ „ona” – jak zwykł ją określać – skazałaby go bez chwili wahania na ponowną poniewierkę. Wiedział, że jest przybłądą bez metryki i rodowodu i jako taki nie pasuje ani do pluszowej sofy, ani marmurowych schodów, ani adamaszkowej pościeli w prążki.

Zanim zamieszkał tu na dobre, próbowano znaleźć mu dom, a raczej odszukać jego poprzednich właścicieli. Dawano nawet ogłoszenia w lokalnej prasie, co bardzo mu pochlebiało. Z trudem odnajdywał sam siebie w zamieszczonym opisie: „Przeżył dorodny kocur w średnim wieku, długa błękitna sierść, złote oczy, łowny”. Przeglądając się w lustrze, widział tłustego szarego potargańca z lekkim zezem i kamieniem na zębach.

Człowiek, z którym Albert poprzednio dzielił dom, nie czytywał ani gazet, ani w ogóle niczego, nie było więc obawy, aby się po niego zgłosił. Gdyby nawet czytywał – ryzyka i tak by nie było. Wywalił kota z zemsty. Wywalił, a chwilę potem chwycił tasak i ruszył za nim w pościg. Gdyby szybciej biegał, także nie byłoby tej historii.

Człowiek ów miał na imię Luigi, rzeźnik z zawodu, lubiany i szanowany w całej okolicy. Jego łagodność była przysłowiowa, przenosił na drugą stronę drogi chrapąszcze, aby nie wpadły pod koła rozpędzonych aut, i odganiał od mięsa muchy ścierką, nie robiąc żadnej z nich krzywdy. Miał tak od małego, na przekór żartom kolegów i gniewowi ojca, który przezywał go „mięczakiem”. Luigi pisywał wiersze, grał na gitarze i ładnie śpiewał. Został rzeźnikiem z woli ojca, polubił ten zawód, dzięki niemu zresztą oraz wyjątkowo urodziwym oczom i nie-nagannej sylwetce podbijał coraz to nowe kobiece serca. Miał trzy stałe kochanki, z których najbliższa mu była Maria. Może by nawet jej się oświadczył, gdyby nie to, że – podobnie jak pozostałe – była zamężna.

To, że w ogóle wywalił swojego kota, wydawało się niepojęte, a już bieganie z tasakiem po ulicy zostało zakwalifikowane przez naocznych świadków jako atak obłądu.

Najbliżej sceny były Simona i Anna, dziewięćdziesięcioletnie bliźniaczki, siedzące jak zwykle na krzesłach przed domem.

- To się musiało tak skończyć – pokiwała głową jedna.
- Myślisz, że załatwił obie? – spytała druga.
- Moim zdaniem Klaudię. Nie wychodzi już cztery godziny.
- Panie świeć nad jej duszą – westchnęły obydwie.

Chwilę potem z domu Luigiego wybiegły jego kochanki, zagrożone w wymianie zdań tak burzliwej, że nawet nie pozdrowiły staruszek.

- Z rozpaczy dostał hopla – stwierdziła jedna.
- Polecał się zabić – przyznała druga.
- Wielka szkoda. Najlepszy rzeźnik od czasów Peppe.
- A można się samemu zabić tasakiem?

Widok Luigiego, wlokącego się ze smętną miną, dał odpowiedź odmowną. Na widok sióstr zatrzymał się.

- Nie widziałyście mojego kota?
- Polecał tam... – pokazały zgodnie.
- A potem... już go nie było?

Pokręciły głowami.

- A bo co? – odważyła się spytać jedna.
- Mam z nim na pieńku – stwierdził krótko.
- To jego chciałeś zabić, tym? – pokazały tasak.
- Jeszcze go dorwę, wypatroszę, a wy dostaniecie skórkę.

Dobra na reumatyzm.

– Dziękujemy – mruknęły bez przekonania, a kiedy zniknął za drzwiami, namalowały na czole kółko. Każda po jednym.

Tego samego dnia w kilku miejscach Arcidosso pojawiły się koślawe ogłoszenia: „Znalascy kota ofjaróje 500 euro”. I dalej rysopis, z którego wynikało, że Luigi nigdy nie przyjrzał mu się wystarczająco dokładnie, aby go opisać.

Przełom, który przeistoczył łagodnego jak baranek rzeźnika w krwawego mściciela, był książkowym przykładem truizmu, że zemsta zaslepia. Przez Alberta Luigi stracił za jednym zamachem dwie kochanki. Podczas gdy kochał się z Klaudią, Albert obsikał jej sukienkę. Zrobił to z zemsty za wywalenie go z łóżka. Pech chciał, że tego samego dnia, trzy godziny później, miała ich odwiedzić Maria. Harmonogram był dopracowany przez długie miesiące i nigdy nie zawodził. Obydwie były wolne w różnych porach w piątki po południu. Konieczność wyprania oraz wysuszenia sukienki przedłużyła o dobrą godzinę wizytę pierwszej. Kiedy Maria przyszła, jej poprzedniczka wciąż była w bieliźnie. Luigi wiedział z doświadczenia, że kobiety będą oczekiwały od niego wyjaśnień. Chwycił za tasak i bez słowa rzucił się na kota, który jeszcze wówczas nie był Albertem.

Miewał różne imiona. Był już Drabem, Pusiem, Luckiem, a nawet Myszką, ponieważ pierwsza pańcia nie zorientowała się, jakiej jest płci. Nigdzie nie zagrzał miejsca dłużej niż pół roku.

Cenił sobie samotność, ale także wygodę, co w praktyce nie chciało chodzić w parze. Po tym, jak kilka razy stracił adres – nie zawsze z wyboru – i tułał się bez względu na niepogodę po rybnych knajpach, znosząc z trudem arogancję kelnerek, nauczył się tolerować pod jednym dachem innych mieszkańców, którzy w swojej pysze uważali się za jego właścicieli.

Pakowanie przez państwo N. walizek oraz przesadnie okazywana mu czułość były światelkiem w tunelu i wizją cudownej odmiany losu. Po raz pierwszy Albert miał być niepodzielnym panem na włościach. Snuł odważne marzenia huśtania się na frędzlach od zasłon, przesiadywania w żyrandolu i znoszenia

łupów z ogrodu bezpośrednio do łóżka. Miał prywatne wyjście przez okienko w piwnicy.

Pojawienie się Sylwii uznał za niedopuszczalne naruszenie własnego terytorium.

Przyjechała czerwonym volvo z powgniataną karoserią, odnalazła klucz w donicy z pelargonią, wtaszczyła do domu dwie walizki, torbę i sztalugi, a potem zaczęła go szukać.

– Kici, kici, gdzie jesteś, kotku? – zapomniała kompletnie, jak zwierzę ma na imię. Jakoś na A – Antoni? Aureliusz?

Ona myśli, że przychodzę na zawołanie, jak jakiś pies – zdziwił się Albert.

– Kotku, odezwij się, dostaniesz mleczka...

Nawet jej nie powiedzieli, że jestem uczulony na laktozę – zdenerwował się Albert.

– Antosiu, kici, kici, grzeczny kotek, pańcia da papu...

Czyżby tu był inny kot? Albert na wszelki wypadek zaostrzył pazury na oparciu fotela i ruszył w bezpiecznej odległości w ślad za nią.

Sylwia poddała się po dziesięciu minutach.

– Nie mogę znaleźć kota – zameldowała przez telefon. – Jak on ma na imię?

– Daj sobie spokój, sam się znajdzie – uspokoiła ją gospodyni.

Sylwia zajęła jedną z dwóch gościnnych sypialni, zrobiła sobie kawę i usiadła z iPhone'em przy basenie.

Czekam, Skarbie – wystukała. – *O której dojedziesz?*

Skarb nie odpowiedział. Mogło to oznaczać zarówno, że jego wóz lada chwila zachrzęści na podjeździe lub że się rozmyślił i nie pojawi się w ogóle.

Widzieli się do tej pory dwukrotnie. Spotkanie pierwsze nie wróżyło niczego dobrego.

Sylwia jako malarka nie miała kłopotów z rozróżnianiem kolorów i zwykle nie przejeżdżała skrzyżowania na czerwonym świetle. Pamiętnego dnia widoczność była bez zarzutu, nie wypiła nawet lampki wina, nie gadała przez telefon, nie sprawdzała niczego w internecie ani nie poprawiała makijażu. W dodatku ruch był mizerny, jak to w południe, a jednak jej volvo walnęło w bok przejeżdżającego właśnie fiata. Gdyby była ubezpieczona, skończyłoby się zapewne na nieprzyjemnej wymianie zdań i spisaniu protokołu: obydwa pojazdy kwalifikowały się do dalszej jazdy. Ponieważ ubezpieczenia nie było, a jej konto świeciło pustkami, uznała, że na wykonanie blacharki fiata wystarczy równowartość jednego – góra dwóch jej obrazów, które Skarb mógł sobie osobiście wybrać.

Drugi raz spotkali się już bez wstępnych ceregieli u niej w domu i o sztuce nie było więcej mowy. O blacharce ani ubezpieczeniach też. Było bosko, o czym zapewnili się wzajemnie przed jego powrotem do miejsca zamieszkania, czyli Rzymu.

Oferta opieki nad Albertem była szansą romantycznych wakacji we dwoje. Informacja, że ma dzielić dom z Marco, nie dotarła do niej wcale, jako że od paru miesięcy nie odsłuchiwała sekretarki.

Rozmyślenia Sylwii zakłócał świdrujący głos samotnej cykady. Woda w basenie była chłodna, więc ułożyła się wygodnie na różowym dmuchanym materacu i wypłynęła na środek. Ścisnąc w dłoni telefon, czekała na odpowiedź od Skarba.

Daję mu trzy dni – postanowiła. Jak się nie odezwie do soboty, ruszam w miasto. Nie wiedziała jeszcze jakie, nie miała czasu przyjrzeć się okolicy ani mapie, GPS doprowadził ją do celu. Tak czy owak, gdyby Skarb ją zawiódł, zamierzała poszukać

kogoś wolnego, przynajmniej na najbliższe trzy tygodnie. Opieka nad niewidzialnym kotem i malowanie jako jedyny sposób na wakacje nie były wystarczająco atrakcyjną perspektywą.

Podczas gdy odpoczywała po uciążliwej podróży, Albert przeglądał metodycznie jej rzeczy. Niektóre z nich zagospodarował po swojemu, z innymi postanowił zapoznać się po otwarciu walizek. Opróżnił miseczki z jedzeniem, załatwił się w zlewie i włożył pod kołdrę, na zasłużoną drzemkę.

Popołudnie z wolna przechodziło w wieczór. Do samotnej cykady dołączyły inne, równie hałaśliwe. Ich jednostajne brzęczenie uśpiło Sylwię.

Obudził ją trzask drzwiczek. Usiadła gwałtownie, materac się zachybotał. Otaczała ją ciepła toskańska noc. Przyjechał? Usłyszała kroki na żwirze. Niech mnie szuka – przemknęło jej przez głowę. Wyobraziła sobie, jak Skarb chodzi po całym domu, a potem idzie do ogrodu. Powinnam udawać, że śpię. I powinnam być naga. Naga w świetle księżycy. Nie było go co prawda widać, było parno i ciemno, ale przecież w każdej chwili mógł zerwać się wiatr, przepędzić chmury... Jej wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach. Ściągnęła bikini, coś obok pluśnięto, ryba, w basenie? A niech to szlag... iPhone!

Trudno. Coś sobie kupi, na kartę. Najważniejsze, że Skarb jest na miejscu. Drzwi domu zamknęły się, kolejne okna wychodziły z mroku, aby po chwili gasnąć. Sylwia zaczynała się niecierpliwic. Dom stał ciemny i cichy, nic się nie działo. Niemożliwe, żeby nie zauważył jej samochodu! Pewnie uznał, że poszłam na spacer albo do knajpy, na kolację. Nie może się dozwonić i czeka na mnie w łóżku. Kilkoma ruchami ramion doprowadziła materac do brzegu.

* * *

Marco był rzeczywiście schludny, pedantyczny i odpowiedzialny. Był również skryty i pilnie strzegł swojej prywatności, co pan N. mylnie uznał za jej brak. Prawdę powiedziawszy, pan N. rzadko zastanawiał się nad życiem osobistym swoich znajomych, ledwie nadążając za własnym. Żona dostarczała mu w nadmiarze wszelkich potrzebnych i niepotrzebnych informacji, które wpuszczał przez prawe ucho, aby natychmiast wypuścić lewym. Pani N. spotkała Marca raz w życiu i z trudem kojarzyła, jak wygląda, wiedziała o nim zatem tyle, ile przekazał jej mąż. Historyk sztuki specjalizujący się w jakimś austriackim malarzu, a może niemieckim, pan N. nie pamiętał nazwiska, tylko że ten malarz pojawił się kiedyś na własnym wernisażu na golasa. Towarzyszyła mu kobieta, też naga. No i był skandal, bo wówczas – czyli musiało to być dawno – nagość szokowała. Nie wie, czy to była żona, co to ma za znaczenie. A skoro ma, niech pani N. sama sobie o nim poczyta. Fakt, trudno poczytać, jak się nie zna nazwiska, ale można się o nie dowiedzieć przy najbliższej okazji. Od Marca naturalnie. Przyjedzie sam, zapewne sam, bo chyba jest singlem. Nie wygląda na geja, a jeśli nawet – to co? No właśnie, przyjedzie, z kim przyjedzie, a pewnie sam, skoro ma pracować. Tu pan N. wymownie westchnął, wracając do preparowania chrząszczy.

Marco był jak najbardziej żonaty. Nie przeszło mu nawet przez myśl, że ktoś mógłby sądzić inaczej. Ożenek leżał w jego planach od zawsze, podobnie jak kariera naukowa (wbrew oczywistym brakom predyspozycji), własne mieszkanie i dwójka dzieci. To, że się do tej pory nie doczekał żadnego, było jawną

niesprawiedliwością. Przestrzegali z żoną skrupulatnie wskazówek lekarza, nie przepuszczając żadnego z dni płodnych, a jednak mimo dziesięcioletnich starań Clara miała brzuch płaski jak deska. Wspólny przyjazd do posiadłości państwa N. był równie oczywisty jak wschód czy zachód słońca.

– Uważaj, żeby się z nią za bardzo nie kolegować – przestrzegał Marco żonę przed współlokatorką. – Gdybym wcześniej wiedział, że nie będziemy sami...

– Mamy dom z basenem za darmo, nie zapominaj o tym – ofuknęła go Clara. – Nigdy by nas nie było stać na wynajęcie czegoś takiego.

Clara była „ekonomicznie przytomna”, jak określał ją mąż, w duchu, ponieważ na temat żony nie wypowiadał się nigdy. Był to oczywisty eufemizm, usprawiedliwiający jej skąpstwo. Marco lubiłby może wydawać pieniądze, ale to żona miała wielozetrowe konto w banku, a obydwójce – jako para – rozdzielność majątkową. Dopilnowali jej rodzice Clary, szacowna sycylijska para, szczęśliwa, że udało im się wydać za mąż najmniej udane ze swoich dzieci. Marcowi pomogli w swoim czasie uplasować się na uczelni, upatrując w nim odpowiedniego kandydata, który dotrzyma córce towarzystwa w życiu.

Przed Clarą Marco miał jedną narzeczoną, której imienia nie warto wspominać. Opuściła go z dnia na dzień dla wędrownego sprzedawcy sprzętu gospodarstwa domowego, po demonstracji tarki do jarzyn. Od tamtej pory Marco miał niechęć do kalafiorów, mężczyzn z przedziakim pośrodku i kobiet, które powtarzają co drugie zdanie „jesteś najwspanialszy na świecie”. Clara mu tego nie powiedziała nigdy, pewnie dlatego, że była z natury prawdomówna i pozbawiona wyobraźni.

Czuł, że nigdy go nie zostawi, i to plus jej korzenie oraz zgrabne nogi wystarczyły do zawarcia związku, całkiem niezłego z perspektywy czasu.

Jadąc do posiadłości w Toskanii, słuchali radia i chrupali ziołowe grzanki, które Clara przyszykowała im na drogę. Chcieli dojechać przed wieczorem, aby następnego dnia zacząć z wypełnioną lodówką i rzeczami ułożonymi w szafach.

Gdy najpierw ugrzęźli w korku z powodu jakiegoś wypadku, a następnie przed tunelem z ruchem wahadłowym, stało się jasne, że dotrą, kiedy dotrą. Clara włączyła e-booka, uciekając od rzeczywistości w perypetie miłosne nastolatki zakochanej beznadziejnie w gwiazdzie hokeja na trawie.

– Nie mogę tego słuchać – próbował protestować Marco, ale na nic się to zdało.

– Nie słuchaj – odpowiedziała Clara. – Masz w tym długoletnie doświadczenie.

– Jestem głodny – zaczął narzekać. – Nie chcę więcej grzanek. Mam ochotę na pizzę.

– I pewnie wino, co?

– Mogłabyś poprowadzić ostatni odcinek.

– Sam wiesz, jakie są ceny w tych bistrach przy autostradach. Kiepskie jedzenie za chore ceny. Zrobię coś dobrego po przyjeździe.

Na pewno makaron z oliwą – pomyślał smętnie Marco. Na taki zestaw można zapewne liczyć w spiżarni gospodarzy. Tknięty nagłą myślą, wystukał ich numer.

– Jest w waszym pobliżu jakaś knajpa? – spytał.

– Nie sposób, abyś się na nią nie natknął – usłyszał po drugiej stronie.

– Zapraszam cię na kolację – oznajmił żonie, dodając gazu, gdy wreszcie skończyły się korki.

Do podnóża góry, na zboczu której rozpościerała się posiadłość Perełka, dotarli, gdy niebo różowiało już zachodem, a żołądek Marca przylepił się do kręgosłupa z głodu.

Restauracja o obiecującej nazwie „Raj” składała się z pięciu stolików pokrytych ceratą, wszystkich zresztą zajętych. Mimo niewymyślnego wystroju, zapachy dochodzące z kuchni obiecywały wiele, podobnie jak zawartość talerzy. Niestety, nikt nie był przy deserach. Goście jedli a to *primo*, a to *secondo piatto*, gawędząc i popijając winem.

– Pizze można zamawiać na wynos – pocieszyła ich kelnerka.

Marco kupił w barze dwulitrową butelkę rosso, a potem usiadł na murku, delektując się cierpkim smakiem i obietnicą posiłku. Clara nalała sobie również szklaneczkę. Popijając wino, czekali na pizze.

Clara próbowała wyobrazić sobie kobietę, z którą przyjdzie im dzielić dom. W przeciwieństwie do męża, nie miała nic przeciwko temu, aby mieć w pobliżu kogoś, z kim można będzie pogadać o rzeczach zwyczajnych i zrozumiałych, zrobić wspólnie zakupy czy nawet ugotować obiad. Wierzyła w kobiecą solidarność i zwykle łatwiej nawiązywała kontakt z osobami tej samej płci. Przy drugiej szklaneczce wszystko wokół wydało jej się bardziej wyraziste. Obserwowała biegające wokół stołu dzieci. Papa mógłby zlecić porwanie jakiegoś malca albo kupić mi takiego na Gwiazdkę – pomyślała. Miała serdecznie dosyć wypełniania obowiązków małżeńskich i przestała wierzyć, że któregoś dnia za ich sprawą powiększy się jej rodzina.

Zerknęła na męża, zastanawiając się, czy warto podzielić się z nim pomysłem, który uznała za genialny, ale właśnie zbliżył się do nich kelner z dwoma płaskimi pudełkami.

Mimo nieustannych zakrętów dotarli do Perełki w niespełna pięć minut. Clara też była głodna, chciała również przed snem spróbować jeszcze trochę czerwonego wina.

Nieźle – pomyślała, gdy Marco minął gościnnie rozwartą bramę. Posesja już na pierwszy rzut oka sprawiała imponujące wrażenie. Stare oliwki i olbrzymie hortensje majaczyły w świetle księżyca. Na podjeździe pod domem stało stare volvo. Nie mogło należeć do gospodarzy, a więc ich współlokatorka dojechała pierwsza. Drzwi domu nie były zamknięte na klucz. Marco wniósł bagaże, a ona pizze. Rozglądali się ciekawie po miejscu, gdzie mieli spędzić najbliższy miesiąc. Mogliśmy znacznie gorzej trafić – humor Clary poprawiał się z chwili na chwilę.

Zajęli wolną sypialnię, z własną łazienką i sporym tarasem. O tym, że druga była zamieszkała, świadczyły wybebeszone częściowo torby i rozrzucone rzeczy.

Nie chciało im się dziś rozpakowywać. Zeszli na kolację do kuchni.

– Ohyda, zobacz! – krzyknęła Clara.

W zlewie leżała kupa Alberta.

– Może miał brudne kuwety... – mruknął Marco, rozpakowując pizzę.

– Chyba nie zamierzasz tutaj jeść? – Clara nalała sobie wina.

– Zamierzam.

Marco usiadł przy stole, plecami do zlewu, i odkroił sobie spory kawałek capriccioso.

– Ja tego nie sprzątnę, brzydzę się – skrzywiła się.

– Może ona sprzątnie, daj spokój. – Na czas urlopu przestaję być pedantem – postanowił.

– Ciekawe, gdzie się podziała. – Clara usiadła obok męża. – Samochód stoi, drzwi niezamknięte.

– Może poszła na spacer. Co nas to obchodzi. Jedz, bo wystygnie.

– Kota też nie widać.

– Pewnie mu głupio, że nabrudził, i gdzieś się schował. Jutro się znajdzie.

– Jestem wykończona, idę się myć – oznajmiła Clara, wyrzucając pusty karton do kubła. Niezjedzoną resztę swojej pizzy zostawiła na talerzu w lodówce. Może on też wszystkiego nie zje. Mogliby podgrzać w mikrofalce i lunch gotowy.

– Zaraz przyjdę – mruknął Marco.

Jadł zawsze wolno, poza tym chciało mu się kawy. Ledwie włączył ekspres, zaległy ciemności.

Z pewnością korki. Jutro – pomyślał. Zajmę się tym jutro.

Z trudem dotarł do sypialni, rozebrał się i walnął do łóżka obok pogrążonej we śnie żony. Clara zwykle zasypiała z chwilą, kiedy przyłożyła głowę do poduszki, i spała kamiennym snem aż do rana. Marco też chętnie by podążył w jej ślady, jednak wiele rzeczy go niepokoiło: nieobecność kota, bez którego ich obecność tutaj była niczym nieuzasadniona, niewidzialna współlokatorka, wreszcie niezamknięte drzwi wejściowe. Każdy może przez nie wejść. Złodziej albo jakiś psychopata. Mało się widzi takich filmów? Nie przypominał sobie ze szczegółami żadnego z nich, ale wszystkie obejrzone dotąd plus wiadomości, od których po prostu roi się w sieci, stworzyły konglomerat, od których, gdyby nie leżał, włosy stanęłyby mu na głowie.

A tak, leżały co prawda razem z nim, za to niepokój nie dawał mu zmrużyć oka.

Zamknę dom – postanowił wreszcie. Skoro ta kobieta się tu wprowadziła, to znaczy, że ma klucz.

Ostrożnie, trzymając się poręczy, zszedł i zasunął zasuwkę.

O GOŁEJ BABIE W SYPIALNI, METALOWYM GRZYBIE POD OKNEM I PARKOWANIU BRZEMIENNYM W SKUTKI

Zamknięte drzwi Sylwia potraktowała najpierw jako roztargnienie, potem bolesny afront, a chwilę później zaproszenie do zabawy. Sprawdza, na ile jestem zaradna i jak się zachowam w trudnej sytuacji – uśmiechnęła się pod nosem. Noc była wystarczająco ciepła, aby ją przetrwać na jednym z leżaków, tym bardziej, że na tarasie leżały piknikowe kapy, którymi można było się przykryć. Sylwia odrzuciła jednak tę możliwość. Podobnie jak przespanie się w samochodzie, który zostawiła miejscowym zwyczajem otwarty, z kluczykami w stacyjce, aby ich bez sensu nie szukać. Przejazd do hotelu nie wchodził w grę po pierwsze – ze względu na brak dokumentów, kart i pieniędzy, po drugie – niezajomość terenu – nie miała pojęcia, gdzie hotelu szukać. Skąpy ubiór nie stanowił jej zdaniem przeszkody, w końcu to lato. Najprostsze rozwiązanie, czyli łomotanie do drzwi, uznała za wyjątkowo mało zabawne.